

Kelus wspomina przyjaciela

Chciałem rozmawiać z Jankiem Kelusem na zupełnie inne tematy. Ale kiedy przyjechałem do nich na Mazury okazało się, że dotarła do nich wiadomość o śmierci ich przyjaciela, opozycjonisty, Jana Bartysia. Rzućcie okiem na wspomnienia Janka Kelusa o tym absolutnie niezwykłym człowieku:

Gdzieś pod koniec lat 70, w czasach KOR-u, dowiedzieliśmy się z żoną, że w naszym najbliższym sąsiedztwie na Ochocie mieszka „chłopiec, inwalida, po Heine-Medina”. To był Jan Bartyś. A ponieważ Kuba, czyli moja żona, prowadziła bibliotekę z prohibitami, to zanieśliśmy mu kilka. Uznaliśmy, że się nudzi.

Zastaliśmy człowieka na wózku, który ruszał tylko jedną ze swych sparaliżowanych dłoni. Chciałem mu przypalić papierosa, ale chwycił swą starą, benzynową zapalniczkę, potarł o nit na dżinsach i w jakiś niewiarygodny sposób zapalił sam.

Uderzył nas wygląd jego pokoju. Na stole książka „Moja kawaleria w pościgu za Budionnym”, na ścianach ogromne ilości militariów: jakieś szable, szpady, lance ułańskie. Jego mieszkanie wyglądało jak zbrojownia, zresztą w latach 80. pokazano kiedyś taki dom w telewizji jako zakonspirowany arsenał „Solidarności”.

My wtedy byliśmy pacyfistyczni, lewicujący, a z ludźmi, którzy mieli pełne gęby frazesów patriotycznych mieliśmy złe doświadczenia. Nie sposób ich było ich namówić do jakiegokolwiek zaangażowania w opozycję. Ale książki mu zostawiliśmy.

Okazało się, że Janek, mimo porażenia czterokończynowego, skończył prawo. Prace pisał na maszynie, trzymając ołówek w zębach. Miał jakiś niesamowity gen przywódczy, mimo kalectwa był hersztem podwórkowej bandy, poruszającym się na swym rydwanie. O wózku zresztą do końca nie mówił inaczej.

Nie pracował, bo w PRL-owskim sądownictwie dla takiego inwalidy nie było miejsca, mnóstwo czytał i zaprzyjaźnił się z nami, zaczęliśmy nawet u niego przechowywać jakieś wydawnictwa. Wtedy wybuchł stan wojenny.

Myśmy się ukrywali i jednocześnie zakładali podziemne wydawnictwo CDN. Poszukiwaliśmy ludzi do pomocy, zwróciliśmy się do niego. Pytał nas, doświadczonych, na czym polega aresztowanie, jak wygląda przesłuchanie. Takich korepetycji udzielaliśmy wtedy wiele, ale on w pewnym momencie rzucił: „A co, jak mnie zrzucą z wózka?”

Uświadomiłem sobie, do kogo my przychodzimy i co proponujemy? Przecież on nigdy by nie wstał z ziemi, mógłby się jakoś beładnie czołgać, ale nie podniósłby się, bo miał sparaliżowane również ręce. Zawstydzeni wycofaliśmy się. Cześć Bielecki, który nie był tak delikatny przyszedł do niego i rzucił: „Co jest, k...a, Jasiu?! To ja, Żyd, mam za ciebie Polskę zbawiać?” Następnego dnia

przyszły do niego blachy offsetowe „Tygodnika Wojennego”. Tak Bartyś wszedł do konspiracji.

Wtedy mnie internowano, a moi przyjaciele wydali moje piosenki. Wszedłem i tak zaczęło się coś, co nazwano Oficyną Fonograficzną CDN. Janek był mózgiem całego przedsięwzięcia, któremu poświęcił z dziesięć lat swojego życia. Wyglądało to tak, że Sławek Bobula załatwiał kasety, które trzeba było sprowadzić z zagranicy lub skombinować nie całkiem legalnie ze „Stilonu” Gorzów. Kasety trafiały do Janka, który dystrybuował je krętaczom.

Krętacze, to ci, którzy pracowicie, na domowych magnetofonach, przegrywali te kasety. Ponieważ było to zajęcie płatne, to Jasio był jednocześnie menadżerem, skarbnikiem i księgowym – to on wypłacał tantiemy autorom, regulował zarobki krętaczy i zajmował się kolportażem. Słowem, brał na siebie całą czarną robotę. Wydaliśmy Kaczmarzkiego, Tosię Krzysztoń, internowanych ze Strzebielinka i przede wszystkim kazania ks. Popiełuszki. To przez ręce Jasia przeszło pięć czy sześć tysięcy nakładu tych kaset, które potem widywałem w domach wystawione jak święte obrazki. Wbrew opinii, że bezpieka wiedziała wszystko i o wszystkich my uniknęliśmy poważniejszych wpadek. Byliśmy grupą przyjaciół, nikt nie doniósł.

Mówisz, że w wolnej Polsce Janek Bartyś był zapomniany? Oczywiście, że był, jak dziesiątki i setki ludzi, którzy się angażowali w latach 90., a potem nie poszli do polityki. Nie słyszał o nim nikt, aż usłyszał prezydent Lech Kaczyński, który uhonorował go Polonia Restituta, co dla Janka było bardzo ważne.

Ale poza tym, tak, nie słyszał o nim nikt, a powinni. Nie wiem, być może byli w Polsce jeszcze inni niepełnosprawni, ale nie słyszałem o kimś z porażeniem cztero kończynowym, kto tak mocno wszedłby w konspirację. To był człowiek ogromnej dzielności. Tak samo jak dzielnie żył, tak i dzielnie umarł. Śmiertelnie chory nie zgodził się na operację, która przedłużyłaby mu życie o kilka miesięcy. Z najbliższymi pożegnał się prostym: „Nie zatrzymujcie mnie. Módlcie się, bym teraz umarł.” To były jego ostatnie słowa.

Tak, za życia był zapomniany, ale nasza pamięć mu się należy.

**Wywiad Roberta Mazurka z Janem Krzysztofem Kelusem
opublikowany w tygodniku "W SIECI "**